

Mikroprzechadzki po nanoświatach

Jak wiadomo z opowiadania Macieja Wojtyzki o Gźdaczach, bywają wszechświaty „Grube i Chude, Kolorowe i Nadmuchiwane, Mrugające i Odrzutowe” – pełne gwiazd bojowych, starcy tytanów, kosmostrad z milionem pasów i galaktycznych przedsięwzięć, lśniących blichtrzem Wielkich Spraw i Ważnych Zobowiązań. Ale dostępne są również wszechświaty bardzo nieduże, właściwie najmniejsze z najmniejszych, jak gdyby przycupnięte w pakamerce, zawsze na zapleczu, w rezerwie, przy odnodze głównych idei i arterii tego czy innego ustroju. Rzecz jasna, roi się w nich od małych, futrzastych zwierzątek – Glusiów, Psztymuclii czy Pciuchów – które poradziły sobie z pułapkami ewolucji znacznie skuteczniej niż zwaliste, ociekające śluzem monstra. Małe wszechświaty uchodzą za ciepłe i przytulne, są niczym wypchane wata pudełka po zapalkach czekające na strudzonego świerszcza albo piernikowo-ciasteczkowe dziuple i chatynki ze snów całego zastępu Kubusiów Puchatków. I nawet wraże narracje znanego z *Kingsajzu* nadszyszkownika Kilkujadka, który chciałby uczynić ze swojej Szuflandii raczej królestwo opresji niż emanację krasnoludkowej arkadii, nie zmieniają naszego parcia ku utopiom: im mniejszy wszechświat, tym większą chcemy w nim dostrzec szansę na pokojowe współlistnienie, a groźby konfliktów, niesnasek i ans rozproszyć w okamgnieniu.

Niezaprzeczną zaletą takich nanoświatów jest także ich kapsułowość – da się je bez trudu upchnąć w kieszeni i nie opuszczać na krok z pilnością brulionowców, gdy chodziło o numer „Literatury na Świecie” poświęcony szkole nowojorskiej. Bez

znaczenia, czy przyjmą one formę szklanej kuli, z zimą i świętem wewnątrz, nęcącej wiecznym powrotem rzeczy, czy raczej już pozbawiony powidoków Nietzschego status domku dla lalek lub innych manekinów, dają miraż skończoności, a my, podmioty całkiem ludzkie, nie lubimy robić przecież nic innego poza utwierdzeniem się w przekonaniu o panowaniu nad sytuacją. Wolimy być jak Gottfried John w ekranizacji Walserowskiego *Jakoba von Guntena*, który objąwszy wielgachnymi dłońmi szklany glob pelen różnaitości, zarządza losem płatków śniegu i bezimiennych figurek, zupełnie jakby robił to z podopiecznymi tytułowego Instytutu Benjamenta. A nie jak Mark Rylance, ów biedny, zgarbiony Jakob, rozpaczliwie próbujący znaleźć nici łączące rekwizyty w wodno-dyspersyjnej rzeczywistości szklanego nanoświata, by odnieść tę metonimię do prawdziwej – tak jakby miała ona istnieć – rzeczywistości nieco staromodnego instytutu zamkniętego w niepozornej kamienicy.

Zresztą i w instytucie, i w kuli z płatkami śniegu, i w szufladzie, dziupli, a nawet w króliczej norze niezależnie od tego, co faktycznie można tam odnaleźć, pragniemy dopatrzeć się samych siebie, przejrzeć się jak w lustrze, znaleźć ukojenie targających nami lęków i pragnień. Narzucamy nanoświatom osobistą opowieść, lepimy je z najcieplejszych myśli i zaklinamy modłami, byleby tylko zakryć zieżącą zewsząd pustkę. Owa przytulna cukierkowość nieuchronnie wiąże się zatem z mocnym wypieraniem Realnego; przychodzi z odsieczą naszym strachom i ogólnemu zagmatwaniu, które toczy nas jak robaki pleniące się w trzewiach wypielęgowanego, pachnącego trawnika przy eleganckim domu na przedmieściach w *Blue Velvet* Davida Lyncha. Kiedy bowiem przyjrzeć się dokładniej, zerwać maskę mieszczańskich konwensów wykwitających pozłotą rezydencji dla lalek, dochodzi do głosu nie tylko wycie wieczności, lecz również jej prosta, bezmyślna, druzgocąca siła. Której, rzecz jasna, nie da się zaradzić stawianiem kolejnych puchato-lukrowych zapór, choćbyśmy upychali te słodkości jedna na drugą, śpiewając dla kurażu o zielonych słoniach z kokardkami u zada. Koniec znamy z Lyncha: chcemy clowna, co jest *candy colored*, dostajemy ucięte, obgryzione przez owady ucho w trawie.

Dlatego lepiej uprzędzić swoje strachy i zamiast raczyć je fantazmatami mdłymi od ulepków, zaatakować wizją wszechświata małego, lecz tej małości świadomego, nieuciekającego od porażek, braków, wątliwości. I, co równie istotne, podobnego do naszego, choć tym podobieństwem robiącego nas w bambuko. Weźmy takiego pana Huczka z opowiadań fińskiego prozaika Hannu Mäkelä: niby mieszka w lesie, na ryby chodzi i do miasta

zagląda od czasu do czasu – i nawet od święta wozi się taryfą – a jednak cały czas mamy wrażenie, że to jakaś makieta świata, gabinet woskowych krajobrazów jakby skarłalych i przez to skarlenie spotworniałych, lecz wciąż udających coś, co chcielibyśmy w nich widzieć. Małość podkreślana jest tu raz po raz: „Nie mam nic prócz małego domku”, zauważa „ponuro” pan Huczek, bo w końcu za oknem wszystko w kontrze: niekończąca się noc, ujadanie bezdomnych psów, dryblasy z nożami, arogancko chichrające się bobry, no a sam domek, mimo że „miękki” i otulony wonią zaparzonego earl greya, też jakiś niepewny – bo nawiedzany przez kocury o gabarytach brontozaura lub parówkożerne rośliny miotające ostrymi przedmiotami. Więc nanoświat i owszem, ale taki, co to walka w nim idzie na całego, a jeńców, jak mawiają, tu się nie bierze.

No i smutek. Bo nie ma prawdziwego nanoświata bez nostalgii, która żyje w samotne wieczory. Nic nie przyniesie ukojenia: ani podśpiewywanie, ani przeobrażanie krzesel w pelikany, ani napychanie się łakociami, które, jak ustaliliśmy, są tylko widowym symptomem całej masy wyparć. I nawet próby wyczarowania jakiegoś innego, „ratunkowego” nanoświata wewnątrz własnego, o powabniejszym i mniej zimowo-nocnym charakterze, muszą spaść na panewce: zamiast bajecznie kolorowych ogrodów wychodzą „pajęczyny, kurz i trociny”, a kiedy w końcu już pośrodku salonu ukażą się rajskie drzewo i rajski staw, to i tak ta złuda zniknie w try miga – razem z gadatliwym szczupakiem, „który żył w stawie, pod wielkim kamieniem, i potrafił piec torty”. Każde zdarzenie ma tu w sobie pierwiastek klęski, obliczone jest na minimalizowanie strat. Chodzi o to, że nie ma co panu Huczce współczuć bycia opryskanym błotem przez pędzące auto, wyśmiania przez zgraję wyrostków czy boleśnie zakończonej próby pływania w zamrożonym jeziorze, skoro on sam się tym nie przejmuje, nie bierze do siebie niepowodzeń, strat i afrontów.

Okazuje się bowiem, że prawa nanoświata wymagają pogodzenia z losem, przy czym nie idzie o mizerabilistyczne mniemanie o czyhających co rusz marnościami, lecz raczej o immanentną oszczędność w gestach i słowach, zamiarach i pragnieniach, wreszcie emocjach przejawianych wobec siebie i innych. Przy tym oszczędność łagodną i uczciwą, niewmówioną sobie przez speców od mód. Co zostaje? Odessanie wszystkiego, co efekciarskie, natchnione i głośne, spowoduje, że przybliżymy się do małego sam na sam z Realnym. A taka schadzka ma to do siebie, że zbiera nam się na zadumę, no bo jak to iść nieprzygotowanym na spotkanie ze swoimi lękami? Zbiera nam się jak panu Huczce, który „nie miał ochoty nigdzie wychodzić ani robić niczego szczególnego”,

więc wziął się za wizualizację wielkich podróży po makrowszech-
świecie, który „w szalonym pędzie gna gdzieś w dal, o której nikt
nic nie wie”; rozważania te prowadzą go do stwierdzenia tyleż
paradoksalnego, co całkiem lebskiego: otóż w końcu „wszechświat
będzie tak duży, że wszystko znajdzie się bardzo blisko”.

I dobrze, zdawałoby się, nanoświaty ze szczerbatymi
garnczkami, woreczkami o nieustalonym przeznaczeniu i kilkoma
krzewami borówek spotkają się z utuczonymi gwiazdozbiorami,
można będzie szarpnąć się na wypadzik byle łajbą na Księżyc i z po-
wrotem. Ale, po prawdzie, jest sens się tak porywać? Skończymy jak
ten Gźdacz, który opuścił swój najmniejszy i najprzyjemniejszy ze
światów, żeby powąchać naszego, i zgłodniawszy, musiał zadowolić
się grzybem, bośmy mu nie umieli dostarczyć ulubionej tiritongi.
Więc co, nie warto zamiast międzygalaktycznych megapodróż
przedsięwziąć jaką podróż mikro? Pójść na spacer z psem, zrobić
tour po osiedlu, poszperać w chaszczach nad rzeką, przejść się
bez celu – i co, źle? I wprawdzie pogodzenie z losem, porażka
wpisana w życie, nuta samotności i nostalgiczne podszepty to nie
wata cukrowa, ale przyznajcie, że takie zetknięcie z Realnym daje
znacznie więcej frajdy niż nurzanie się w rozkosznych fantazjach,
bo w końcu – o czym zaświadcza sam pan Huczek – „w dzień lepiej
pływać prawdziwą łodzią po prawdziwym jeziorze”.